Pastelowa wstęga Möbiusa na czarnym tle. Część 1.

50 lat twórczości Andrzeja „Dudiego” Dudzińskiego



Magda i Andrzej Dudzińscy, fot. K. Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk *(Sopot, Toronto, El Chalten w Patagonii)*

Gdy zapoznajemy się z pracami Dudiego, pojawia się słowo, czasami niebezpieczne dla twórcy – zachwyt. Zachwyt bezkrytyczny – oczekując, by stale nas zaskakiwał przyrządzając smakowite iluzje nadziane na rożen realności oraz zachwyt krytyczny – z obawy, za co jeszcze może się wziąć… Bo póki co, są to: malarstwo, grafika, rysunek satyryczny, ilustracje książkowe, plakaty, fotografia i foto-przekształcenia, scenografia teatralna, publikacje książkowe, w tym wspólnie z żoną Magdą książki dla dzieci, prace komputerowe (obrazy cyfrowe), kolaże i asamblaże, prace dla radia, TV, kabaretu i filmu, a ostatnio także reżyseria. Należałoby dorzucić dawne rysowano-pisane listy do przyjaciół i znajomych oraz wciąż podtrzymywane życie towarzyskie, połączone ze zdziwieniem z powodu jego zanikania i tak szybkich zmian w świecie, że poprzez jego liczne dziury i pęknięcia postrzępiła się, a nawet czasem zerwała w wielu miejscach, materia ciągłości pokoleniowej. Dodatkowo, w owych zaklęśnięciach żywobycia coraz to znikają ludzie z rodziny i z grona dawnych znajomych, udając się śladami doży, któremu się dłuży w otchłaniach Wszechświata…

I tak zleciało 50 lat twórczości artystycznej, którą Andrzej Dudziński obchodził w ubiegłym roku, twórczości bynajmniej nie zasklepionej w sobie i w spoczęciu na zasłużonych laurach.

Sopockie klimaty

Z Dudim mam życiowe zaplątania, które wzięły się nie tylko z mieszkania razem w tym samym, magicznym wręcz miejscu, Sopotem zwanym, gdzie się Andrzej urodził. Spotkaliśmy się w sopockim II Liceum, w ósmej klasie. Ja beknąłem czyli zostałem na drugi rok i tym sposobem z Dudim się rozstałem. Co pewien czas dochodziły mnie wieści o jego wyczynach w szkole i poza nią, bowiem od samego początku był postacią barwną. Dobrze znali się nasi ojcowie, spotykając się na gruncie zawodowym w biurze projektów. Nadto nasi rodzice dość często grali w brydża, popijając co lepsze zagrania nalewkami lub wyrobami PMS. Gdy Andrzej popadł w tarapaty z językiem rosyjskim, uczęszczał przez pewien czas na korepetycje do mojej babci, która jako osoba urodzona w wieku XIX, kończyła szkoły w zaborze rosyjskim. Kiedyś śmiejąc się powiedziała mi:

> Ten Dudziński zadaje czasem takie pytania, że nie wiem jak na nie odpowiedzieć. Wczoraj stwierdził, że w szkole razi go brzydota i wulgarność języka łacińskiego i na dowód przytoczył odmianę słowa „huius” dodając, że jeszcze do tego jest zaimkiem wskazującym – zapewne na kogoś.

W Sopocie była szczególna atmosfera, bo po wojnie w dużym procencie mieszkała tam inteligencja, w tym spora grupa

warszawiaków, którzy po przeżyciach wojennych nie byli w stanie ponownie zamieszkać w zrujnowanej stolicy. Następnie wygnańcy ze Wschodu czyli wilniucy i grodnianie, nadto zachowało się nieco Niemców i ocalałych Żydów. Niemców komuna ostatecznie wygnała po roku 1951, natomiast wielu Żydów po 1968. I od lat mieszkali tam Kaszubi. Jednym słowem była to pewnego rodzaju wielokulturowość, bo mieszały się nie tylko języki i gwary, ale też style życia i bycia. Przeto materia dla obserwacji i wzbogacania wewnętrznego była nader obfita, a od czasu do czasu, po grzbietach waliła nas historia.



Sopot, widok na Zatokę Gdańska, fot. K. Kasprzyk

Kto wie czy jednak nie ważniejsze było otoczenie, krajobraz i klimat tego miasta – wzgórza porośnięte lasem, plaża, morze czyli Zatoka Gdańska, która zimą potrafiła tak zamarznąć, iż chodziliśmy piechotą wokół sopockiego mola, przedziwna architektura starych, poniemieckich domów, rodem z bajek lub świata innych fantazji, stare kamienice z przeróżnymi zakamarkami, przejściami i nader tajemniczymi piwnicami. To był świat naszego dzieciństwa, który nas pobudzał i rozwijał, tworzył magiczne pole eksploatacji skutkujące często naszymi dokonaniami w latach późniejszych. Oczywiście pod warunkiem, że zasiedlił się w nas talent, pracowitość i to COŚ unikalnego. To wszystko w Andrzeju szczęśliwie się skupiło.

Słynne były teksty Dudzińskiego, nazywanego wtedy Szarotą, różne jego powiedzonka i purnonsensowne kawały, gdy się spotykał w czasach studenckich ze swoją paczką w kultowej sopockiej kawiarni „Złoty Ul". Z tamtych czasów zapamiętałem jeden jego dowcipas:

> pustynia, gorąco, po piasku lezie harcerz, dochodzi do jakiejś wydmy i zaczyna kopać w niej saperką. Kopie, kopie, kopie i po chwili odkopuje drzwi z napisem „Piekarnia". Puka, ktoś odzywa się „Proszę wejść", więc wchodzi i pyta „Czy są czerstwe bułki?". „Nie ma" odpowiada piekarz. Harcerz wyjął dzwoneczek i zadzwonił.

Zaskoczył nas także jego ożenek w młodym wieku (22 lata, wciąż na studiach) z Magdą Dygat, ale ta miłość trwa do dziś na nadzwyczaj ciepłych i solidnych podstawach. Wtedy poczytywaliśmy taki krok za sporą odwagę, bo przeważnie trwaliśmy grzecznie, czasem przydługo, na garnuszku rodziców. Andrzej miał przeboje z ojcem, nie tylko z powodu wczesnego ożenku, ale głównie z racji wymknięcia się po dwóch latach z architektury na Politechnice Gdańskiej. Ojciec sobie wymarzył i zaprojektował, że Andrzej będzie architektem. Nadto styl Brunona Dudzińskiego i jego poczucie humoru dalekie były od synowskiego, ba, wręcz się rozmijało.

Dudi najpierw przeszedł do gdańskiej PWSSP, na architekturę wnętrz i grafikę, by potem przenieść się do warszawskiej ASP, kończąc wydział grafiki i plakatu w pracowni Henryka Tomaszewskiego. W schyłkowych latach 60. kontakt z nim mieliśmy potrójnym sposobem. Po pierwsze – poprzez nadsyłane do przyjaciół listy z rysunkami, które oglądaliśmy zaśmiewając się serdecznie. Po drugie – przez pierwsze jego dokonania w dziedzinie ilustracji okładek (pismo „Ty i Ja") oraz zamieszczanie rysunków w miesięczniku „Polska" i tygodnikach: „Kultura" i „Szpilki". I po trzecie – wpadał od czasu do czasu z Magdą do Sopotu, bo niełatwo było zapomnieć jego atmosferę, szczególnie tę z końca lat 50. i początku 60. Mieszkali tu profesorowie gdańskiej PWSSP, którzy byli pierwszymi mistrzami Dudzińskiego, z Gdańska promieniował klub studencki „Żak",

najeżdżała nas regularnie kulturalna Warszawa, pienił się obficie letni sezon, a punktem zbornym, przez niemal cały rok, był słynny SPATiF na dole Monciaka czyli ul. Bohaterów Monte Cassino. Jak powiedział Dudi o Sopocie, w jednym z wywiadów:

> tam socjalizm mieszał się z przedwojennością, a prowincjonalność z wielkim światem.

W oparach swingującego Londynu

Londyn, w końcu latach 60., był wytęsknioną, wyimaginowaną krainą dla mego dokuczliwie, a nieraz boleśnie przytrzaśniętego w komunie pokolenia. Fascynował, wabił i nęcił. Skazani na radio i jakieś odpryski w kinie i telewizorach, odpryski z reguły pod kontrolą, chciwie łapaliśmy każdą wiadomość stamtąd. Byliśmy zafascynowani, często naiwnie i bezkrytycznie, Zachodem, szczególnie Londynem, który wciąż dzierżył pierwszeństwo bycia kulturalną stolicą Europy, a nawet świata. Mimo, iż była to już końcówka ruchu hippie i młodzieżowej kontrkultury, powoli wchłanianej przez komercję.

Lecz póki co kontrkultura z jej głównym rdzeniem – muzyką rockową (Beatlesi, Stonesi, Hendrix, psychodelik skupiony w

samej jego esencji o nazwie Pink Floyd), psychodeliczną sztuką, z rozbudowanym podziemiem (słynny undergrodund), z duchem buntu, anarchii, zjadliwej ironii wobec establishmentu, jednocześnie z krzewionymi hasłami łagodności, miłowania i pokoju – wszystko to wciskało się wszelkimi możliwymi szparami w życie kulturalne, społeczne i polityczne. I powstał nowy rodzaj niezależnej prasy, pisma takie jak „OZ", „Ink", „Frendz" i „Time Out" w których, w czasie dwuletniego pobytu w Londynie, Dudi znalazł swobodną przystań i to taką, która mu dała artystyczny i intelektualny zaczyn.

Czy byliśmy zazdrośni? O tak, bo dostał się do wymarzonego raju, bo zaznał swobody. Bo mógł chodzić po Portobello Road, widzieć i słyszeć te wszystkie cuda. Poznawać i obserwować naszych uwielbianych artystów, naszych idoli nie raz zatopionych w narkotycznych odjazdach lub łagodnych odlotach na "trawie", by podbudować swoje czucia i dać kopa wyobraźni, tak mocno zafascynowanej wtedy Wschodem, ale tym Dalekim. I nie było w tym żadnej ambiwalencji. Ona przylazła później i niestety sporo osób z naszego pokolenia, raczej brzydko się zestarzało.

Za komuny Trójmiasto było oknem na świat. Marynarze dostarczali ciuchy, w tym wytęsknione dżinsy i winylowe płyty o zapierających dech okładkach, w szalejącym rozpasaniu pop i op artu. Dudi był wtedy nieodrodnym dzieckiem owego pokolenia, podekscytowanego zachodnią sztuką. Dzięki pomocy i

zaproszeniu od znanego dokumentalisty Bolesława Sulika, w czerwcu 1970 Dudzińscy zakotwiczają się w Londynie. Wieść o wyjeździe Dudiego do swingujacego wciąż Londynu była dla nas nader ekscytująca. Bo pomijając wspomnianą zazdrość mieliśmy tam swojego człowieka, ba, przedstawiciela Sopotu!

Londyn Dudiego to swoisty skok na głęboką wodę. Od grotechy życia w PRL-u, odskorupiania się z układów rodzinnych i ostatecznego zrzucenia z siebie ojca, do anarchistycznego szwungu, surrealistycznego spojrzenia na świat, osierocenia spokoju schowanego pod ziarnkiem piasku na sopockiej plaży, bo roztętniony Londyn żył na okrągło z atomową wręcz energią działania i dziania się.

Po latach wspominał:

> kiedy w wynajętym pokoju rozłożyłem kilka arkuszy białego papieru na podłodze, wiedziałem, że chcę robić coś zupełnie innego. Doskonale pamiętam to uczucie otwarcia. Jak gdyby fakt, że jestem w nowym miejscu, tak zupełnie innym od Warszawy czy Sopotu, nakazywał i jednocześnie umożliwiał przejście do innego wymiaru. Być może była to też próba oderwania się od wszystkich dotychczasowych wpływów. Takie bezlitosne zajrzenie w siebie, żeby odnaleźć to, co jest autentycznie moje i nie narzucone.

Powrót i odwrót

Latem 1972 roku Dudzińscy są znów w Warszawie. Powrót Andrzeja, połączony z wyfrunięciem z łamów “Szpilek” Ptaka Dudiego, otoczonego przyjaciółmi – zwierzątkami, komentującymi lub dopowiadającymi kwestie do głównych tekstów ptaka, napełniał nas radościa i satysfakcją. Czytaliśmy jego krótkie filozoficzne rymowanki o życiu, odnajdując w nich nie tylko jego dawny, sopocki duch, wzbogacony tym co zaczerpnął z atmosfery i stylu bycia Londynu, ale także uwielbialiśmy jego naigrywanie się z zapyziałego PRL-u, który był tak dokuczliwym, naszym gorsetem.



A. Dudziński, źródło: Internet

“Szpilki” były wtedy niemal wyrocznią mego pokolenia, włącznie z bardzo lubianym przez nas felietonistą – tak, tak! – Urbanem. Zespół różnorodnych i świetnych rysowników – potężna gromadka Andrzejów: rozrywkowy i oryginalny w swej twórczości Czeczot, kąśliwy i celny Krauze, rozwijający coraz mocniej swój wręcz genialny zmysł felietonowy – Mleczko. Co to było za rozbuchane i ostro patrzące na rzeczywistość towarzycho!

A w nim ekscentryczny, przekorny i filuternie ciepły Ptak Dudi:

> a my tu sobie panie redaktorze pracujemy z kolegą docentem nad, nie uwierzy pan, miniaturyzacją niechęci…

Ptak czujny (ostre spojrzenie), acz obserwator nieco zdystansowany (ironia) zaułków, przejść i ślepych ulic biurokratycznej rzeczywistości nudnego i przaśnego PRL-u, egzystował przez siedem lat.

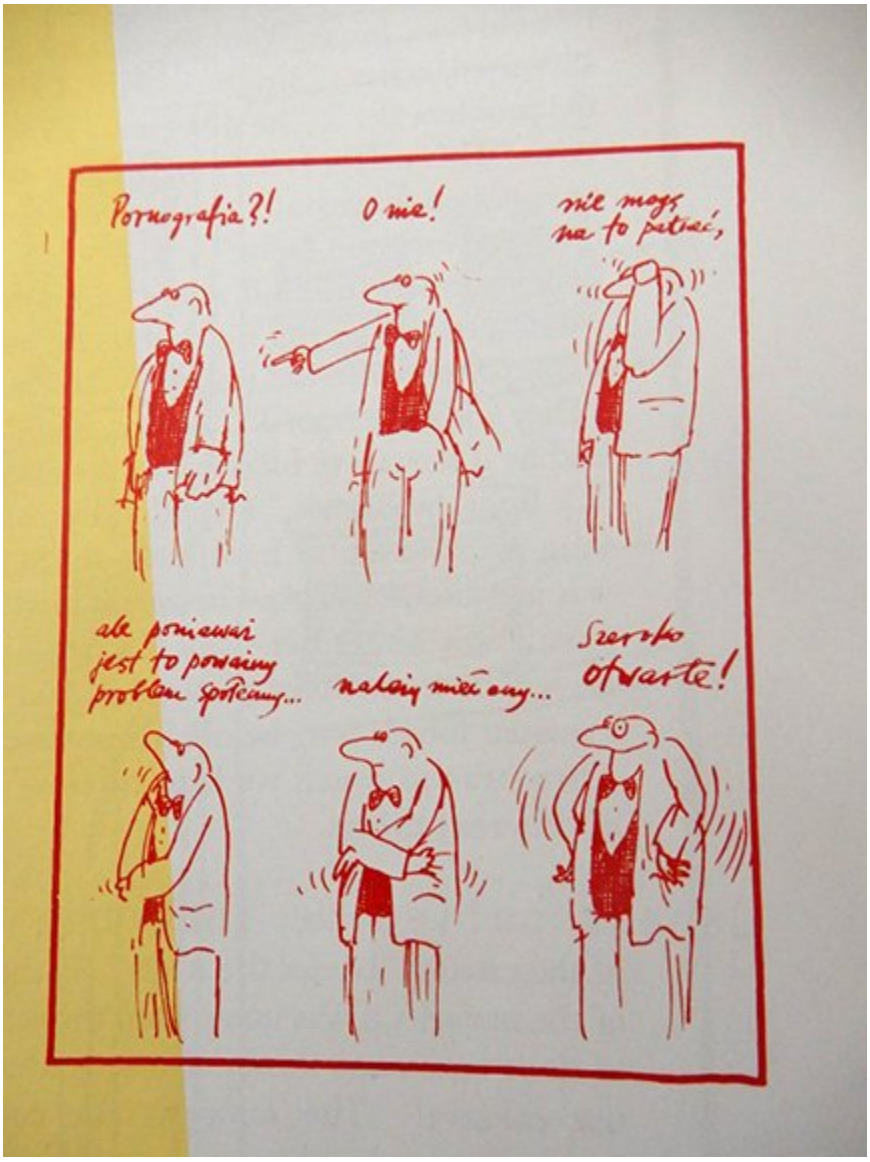


A. Dudziński, źródło: Internet

Stan ducha i materii ironiczno-anarchicznego Ptaka był zarazem instynktowną ucieczką przed zaszufladkowaniem, przed nalepką-przylepką, przed triumfalnym uchwyceniem-odkryciem przez krytyków i /lub publiczność. To nie miał być ptak w klatce, nawet gdyby była złota. Miał buszować na wolności by być ciekawym dla samego siebie. Z chłopięcą ciekawością wciąż odkrywać nowe mielizny, doły i zapadliska, przylądki i zatoki na bezmiarze żywiołu wody. Jak niegdyś podczas letniego byczenia się na

sopockiej plaży.

Publikował także, w „Szpilkach” i innych tygodnikach i miesięcznikach, zabawne, a zarazem refleksyjne i z dużym wdziękiem czynione rysunki satyryczne, co podawało nam w czasach komuny dodatkową porcję tlenu do przetrwania. Jego ogląd świata nie był oparty na buncie dla buntu, czy na negowaniu starych zgredów, bo rzecz była nie w wieku, ale otwartości rozumu i czucia, a przede wszystkim artystycznego intelektu.



A. Dudziński, źródło: Internet

W latach 70. na stałe współpracował z „Ty i Ja”, „Literaturą”, „Kulisami”, „Polityką” i innymi periodykami. Projektował plakaty filmowe i teatralne, czołówki filmowe i teatralne scenografie. Okresowo współpracował z radiem i telewizją, a także kabaretem „Pod Egidą” i „Salonem Niezależnych”. Razem z Magdą pisał i ilustrował książki dla dzieci. W 1975 roku Ptak Dudi był osią słynnego festiwalu artystycznego studentów – FAMA. Dudziński pokazał tam, zrobiony wspólnie z Jurkiem Karpińskim, z

warszawskiego klubu „Stodoła”, pierwszy w swym życiu, kompletnie odjazdowy film. Postacie z filmu (Kleyff, Tarkowski i Weiss z “Salonu Niezależnych”) pojawiły się jakby wprost z ekranu na scenie w świnoujskim amfiteatrze. Wywołały tam kompletną anarchię rozwalając scenę i prowokując część widowni do zadymy, co miało być niejako symbolem ówczesnej degrengolady PRL-u. W niepełny rok później wybuchły protesty w Ursusie i Radomiu.

W 1976 roku Dudzińscy zostali zaproszeni do Holandii i Francji, gdzie Andrzej spotkał się ponownie z Ronaldem Toporem. Na całe życie zapamiętał to co mu Topor powiedział:

> nie obawiaj się, my artyści nigdy nie idziemy na emeryturę, pracujemy do końca.

Od powrotu z Londynu miał w Polsce cztery indywidualne wystawy swoich prac, przy czym ostatnią przed wyjazdem do USA, w 1977 roku, w gdańskim klubie „Żak”, którego byłem wtedy prezesem i którą to wystawę, wspólnie z moimi pracownikami, zorganizowałem.

I jakżesz przedziwnie się plotą zbiegi okoliczności. W tym samym roku zaprosiłem do klubu pianistę jazzowego Adama Makowicza i był to także jego ostatni koncert w Polsce, przed wybraniem

wolności w Stanach.

Okres amerykański czyli z opresji pod presję

W 1977 roku mocno przykręcono śrubę i jedną z naszych ulubionych postaci, dodatkowo kręcących się przy Ptaku – Albina Kapucho ze spółdzielni „Ucho” – „wykopsał” w niebyt szczur z Mysiej, czyli cenzor z Głównego Urzędu Kontroli na ulicy Mysiej w Warszawie. Pozostało nam zżymanie się i zgrzytanie zębami, co u paru zdeterminowanych i odważnych osób spowodowało chęć działania i powstał KOR, po którym wyroiły się inne organizacje i związki oporu, mające swe ukoronowanie w pamiętnym strajku sierpnia roku 1980.

W czerwcu 1977 roku Dudziński został zaproszony na Międzynarodową Konferencję Grafików w Aspen, Kolorado. Przygotował na nią, znów z Karpińskim, krótki film o sobie i swej twórczości pt. „Scrap film”. Występowała w nim ta sama trójka aktorów i zapewne z tego powodu nastąpił kolejny, anarchiczny chaos podczas projekcji, w zderzeniu z amerykańską odmiennością projektorów, wtyczek, gniazdek, jak i napięcia prądu. Pokaz przymusowo przekształcił się w spontaniczny happening. Na konferencji Dudi spotkał wielu wybitnych grafików od których usłyszał słowa zachęty – spróbuj, spróbuj tu

pracować i zaistnieć.

Najpierw był “miodowy miesiąc” spędzony na zaproszeniu do Los Angeles, gdzie Dudzińscy zostali natychmiast wkręceni w kalifornijski styl życia i bycia, w dodatku posiadając nikły budżet. Zaczęło się szukanie prac zleconych, poznawanie rynku i jego możliwości. Dudi był wciąż zafascynowany muzyką rockową i marzyło mu się robienie okładek do winylowych LP, które w latach 70. były graficznymi cackami, niemal dziełami sztuki. Lecz zmienił się już trend i na okładkach zagościł nowy styl. Płacono mu jednak za szkice do projektów okładek. Ponieważ długo nie dało się tak pociągnąć, Dudi zdecydował się na kolejną, artystyczną Mekkę tamtego czasu – Nowy Jork. Tam na szczęście pomogli mu na początku życzliwi rodacy (państwo Markiewiczowie), rzecz niestety dość rzadka w polonijnym środowisku.

Założeniem było spróbować – i to nie za wszelką cenę – wejść na profesjonalny rynek amerykańskiej grafiki i ilustracji dla prasowych magazynów. Za sobą miał nie tylko otrzaskanie w zachodnich realiach, poprzez pracę w Londynie, lecz także posiadał bogate portfolio. Trzeba było zmienić styl pracy i spojrzenia na świat, co także czekało niesfornego Ptaka Dudiego. Dudziński mając już wstępną orientację w terenie, doszedł do wniosku, że ptaszydło może się stać jego pułapką. Zaszeregowaniem do jednego typu twórczości, co wtedy było

bardzo charakterystyczne, a w zasadzie funkcjonuje do dziś na rynku sztuki amerykańskiej.

Nawiązanie współpracy ze świetną gazetą “New York Times”, było dla niego kolejną lekcją, która przy jego zdolnościach, pracowitości i intelekcie, dorzuciła nowy element do jego drogi artystycznej. Został niejako zmuszony do porzucenia kolorów na rzecz czarno-białej i to często oszczędnej kreski, bo takie były preferencje “Times’a”. Poszukiwanie koncepcji rysunku-ilustracji do danego tekstu, pchnęło go ku studiowania sztuki greckiej i rzymskiej oraz takich klasyków rysunku, jak Dűrer czy Hogarth. Nadto okazało się, że nabyta w PRL-u umiejętność posługiwania się metaforą, zawoalowanym przekazem, znakomicie się przydaje do ilustracji politycznych tekstów, szczególnie dotyczących Wschodniego Bloku.

Przy okazji chciałbym podkreślić fantastyczną umiejętność Dudzińskiego, którą nazywam błyskiem. Bo oto dostaje tekst do ręki, czasem na ostatnią chwilę, czyta go i mimo pewnych trudności w wyłapaniu niuansów językowych (w amerykańskim przypadku znajomość angielskiego nie zawsze wystarcza i musi upłynąć sporo czasu by się weń wdrożyć), potrafi szybko wyłuskać właściwe ziarno i tak je zasiać, że za chwilę wydaje świetny plon. Ponieważ jego prace regularnie zaczęły się ukazywać w “NYT”, zauważono jego nazwisko.

Zauważyły go też służby widne, tajne i dwupłciowe PRL-u, kiedy od 1981 roku ukrył się pod pseudonimem “Jan Kowalski”, zamieszczając rysunki przy tekstach skierowanych przeciw blokowi komunistycznemu, co automatycznie wzmogło się po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Takowe rysunki zamieszczał wtedy w największej gazecie polonijnej w USA, w “Nowym Dzienniku”.



A. Dudziński, źródło: Internet

Zaczął także pojawiać się w innych znanych dziennikach i magazynach amerykańskich, jak „The Atlantic Monthly”, „The Boston Globe”, „Newsweek”, „The New York Times”, „Playboy”, „Rolling Stone”, „Vanity Fair”, „The Washington Post” i „Time”. Bardzo wiele zawdzięcza „The Boston Globe”, który ku jego uldze, umożliwił mu zamieszczanie kolorowych rysunków, dzięki czemu mógł kontynuować pracę w dwóch, odmiennych stylach. Tym bardziej, że na rynku amerykańskim istnieje specjalizacja automatycznie przypisująca artystę do jednego stylu. A tego Dudi instynktownie nie znosi.

Praca w obu dziennikach – „NYT” i „Boston Globe” umożliwiła mu także zamieszczanie dodatkowych rysunków w magazynach „American Illustration”, „European Illustration” i „Graphis”. W tym czasie Dudzińscy mieszkali na Long Island z widokiem na leżący naprzeciw Manhattan. Gdy ich odwiedziłem w 1985 roku, już tam nie mieszkali. Andrzej opowiadał, że widok na niesamowitą różnorodność zmian wyglądu Manhattanu, za dnia i w nocy, wręcz go atakował i rozpraszał. Dlatego opuścili Long Island przenosząc się właśnie na drugą stronę. Co prawda po przeprowadzce szybko ukradziono im auto, lecz niewiele się przejmując zadecydowali o okresowym wypożyczaniu samochodu, używając często rowerów i spacerując, tym bardziej, iż mieszkali niedaleko nowojorskiej oazy – Central Parku.

Zastanawiam się czy przypadkiem owe wcześniejsze obserwacje

nocnego Manhattanu, wyłaniającego się z ciemności, nie wpłynęły na nową fascynację Dudiego – posługiwanie się pastelami na czarnym tle, co z czasem stało się jego znakiem rozpoznawczym. Czarne tło było wtedy w Ameryce nie do pomyślenia. Zdecydowanie je odrzucano we wszystkich magazynach. A jednak w „Boston Globe" zaryzykowano. Rysunki sporządzał na specjalnym, grubym, szorstkim i oczywiście przepastnie czarnym papierze, zwanym Murillo i produkowanym w Fabriano, w Italii. Eksperymentował na nim temperą, akrylem a nawet olejną farbą, lecz zdecydowanie przeważyły szwajcarskie kredki olejne „Neocolor", które używał z mieszanką terpentyny.



A. Dudziński, źródło: Internet

W sukurs przyszły mu magazyny komputerowe, w których świetnie się przyjął jego nowy styl rysowania, właśnie na czarnych tłach. Wydawnictwa komputerowe zaczęły zamawiać u niego prace reklamowe i rozpoczął współpracę ze słynnym fotografem Ryszardem Horowitzem, mieszając rysunek z fotografią. Lecz znów odezwał się instynkt samozachowawczy i obawa przed kolejnym zaszufladkowaniem. W Polsce uważano go za twórcę w stylu zachodnim, na Zachodzie za typowo polskiego,

natomiast w Ameryce za typowo europejskiego.

W 1982 roku zaczął również coś nowego – został na siedem lat wykładowcą w „The Parson School of Design”, gdzie niejako znalazł swe dawne odbicie z czasów młodości, jak potem napisał we wspomnieniach:

> tam zastałem nieortodoksyjne zachowania i kontestacje wiszącą w powietrzu.

Jednakże po paru latach atmosfera luzu i zadziorności się zmieniła, głównie z powodu nowego rodzaju studentów (należy pamiętać, że w tamtym czasie na uniwersytety wkroczyła polityczna poprawność, nieraz mocno przesadzona). Gdy poczęli się zwracać do Dudiego per “Mister Dudzinski”, postanowił zakończyć swoją karierę profesorską.

Na szczęście okres amerykański był przeplatany wyjazdami i wystawami indywidualnymi w Europie. Zaczęła je wystawa w Londynie, w tamtejszym Teatrze Narodowym. Pod wspólnym tytułem „Widzowie”, Andrzej pokazał 40 olejnych pasteli z niesamowicie wyrazistymi, groteskowymi postaciami. Bardzo szybko posypały się zamówienia z angielskich magazynów – „Vouge”, „Tatler” czy „GQ”. Lecz wydarzyły się rzeczy dodatkowe, przede wszystkim wizyta u znajomych we francuskim

departamencie Dordogne, gdzie obejrzał rysunki naskalne człowieka Cro-Magnon. Obrodziło to serią pasteli z nowym typem postaci i skłoniło go do bardziej oszczędnego stosowania kolorów. Sądzę, że owo doświadczenie stało się zaczątkiem tego co rozwinął obecnie – zamierzonej oszczędności wraz z dążeniem ku prostocie. Pewne znaczenie miała także podróż do Italii i pobyt w Rzymie i w Wenecji.

Praca w USA rozłożyła się na dwa miejsca – mieszkanie na Manhattanie i nabyty dom (studio) w miasteczku Gilbertsville, trzy godziny drogi od Nowego Jorku. Przypuszczał, że sielska cisza ułatwi mu lepsze wsłuchiwanie się w siebie. Tymczasem z powodu niesamowitej ilości owadów, często dokuczliwych, zrodziła się seria istot owadokształtnych. I co dla mnie osobiście intrygujące, mimo spockich korzeni, które przecież wzrastały przeważnie w ciszy i spokoju (dzikie zamieszanie trwało jedynie w sezonie letnim), wszelakie dźwięki prowincji, szczególnie natury, budziły zarówno w Magdzie, jak i Andrzeju, jakiś niepokój. Okazało się, że było im raźniej w nieustannych hałasach i wibrowaniu Manhattanu.

Pośpiech nowojorski to szczególne zjawisko. Wszyscy są niezmiernie zajęci, włącznie z emigrantami, którzy od razu próbują łapać swoją szansę w tym rozbuzowanym ulu, gdzie założeniem jest, że przecież Ameryka przyciąga najlepszych i najzdolniejszych. Dudi twierdzi, że rozpoznawanie go w Ameryce

jako Europejczyka było nobilitacją, bo „Europejczycy mają lepszy smak i lepsze maniery”. Dodałbym – lepsze wykształcenie oraz poczucie ważności życia towarzyskiego, a nie opierania się tylko na pracy z dodatkami (chodzenie po restauracjach, przaśna turystyka, itp.). Owo ciśnienie spowodowało, że Dudi zorientował się, że, jak mówił:

> znalazłem się pośród maniakalnych pracoholików, ludzi przesadnie ambitnych i powinienem czuć się szczęśliwy, że jestem w tej lidze mistrzów, której ekskluzywne członkostwo jest tylko dla psychopatycznych pracusiów.

Dudziński wyczuł w tym nadciągające niebezpieczeństwo. Niespodziewanie w sukurs przyszła wizyta jego siostry Gabi z synem, którego nadruchliwość próbowano opanować zachęcając go do rysowania. Głównym tematem rysunków chłopca była kula na pająkowatych nogach. Dzięki temu pojawił się nowy twór Dudiego – Pokrak, który uzyskał publiczną nobilitację na kolejnej wystawie indywidualnej w Londynie, w 1987 roku. Dudziński przechodził w tym czasie następną fazę artystyczną – sprzeciw wobec wszystkiego czego się do tej pory wyuczył.

Za dwa lata Dudzińscy znaleźli się w grudniu, w Polsce, gdzie natrafili na wręcz szokujacy krajobraz zmian, w kraju w którym

musieli rozeznać się na nowo. W 1990 roku była wystawa indywidualna Dudiego w Warszawie, a rok później w Krakowie. Tam nawiązał współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym”, gdzie na parę lat zagościł Pokrak. Miał stałą rubrykę rysownika-felietonisty i Pokrak wygłaszał tam purnonsensowne teksty z dokomentarzami małych zwierzątek.



A. Dudziński, źródło: Internet

Pokrak znakomicie się dopasował do zachodzących, często pokracznych, zmian w Polsce. Był świetnie wkomponowany w

absurdalny ogląd rzeczywistości. Niektóre rysunki-felietony okazały się także prorocze, gdy na przykład stwierdził:

> Metraż komfortu psychicznego zaczyna się zmniejszać

lub

> Kiedyś mój synu cały ten chaos będzie twój

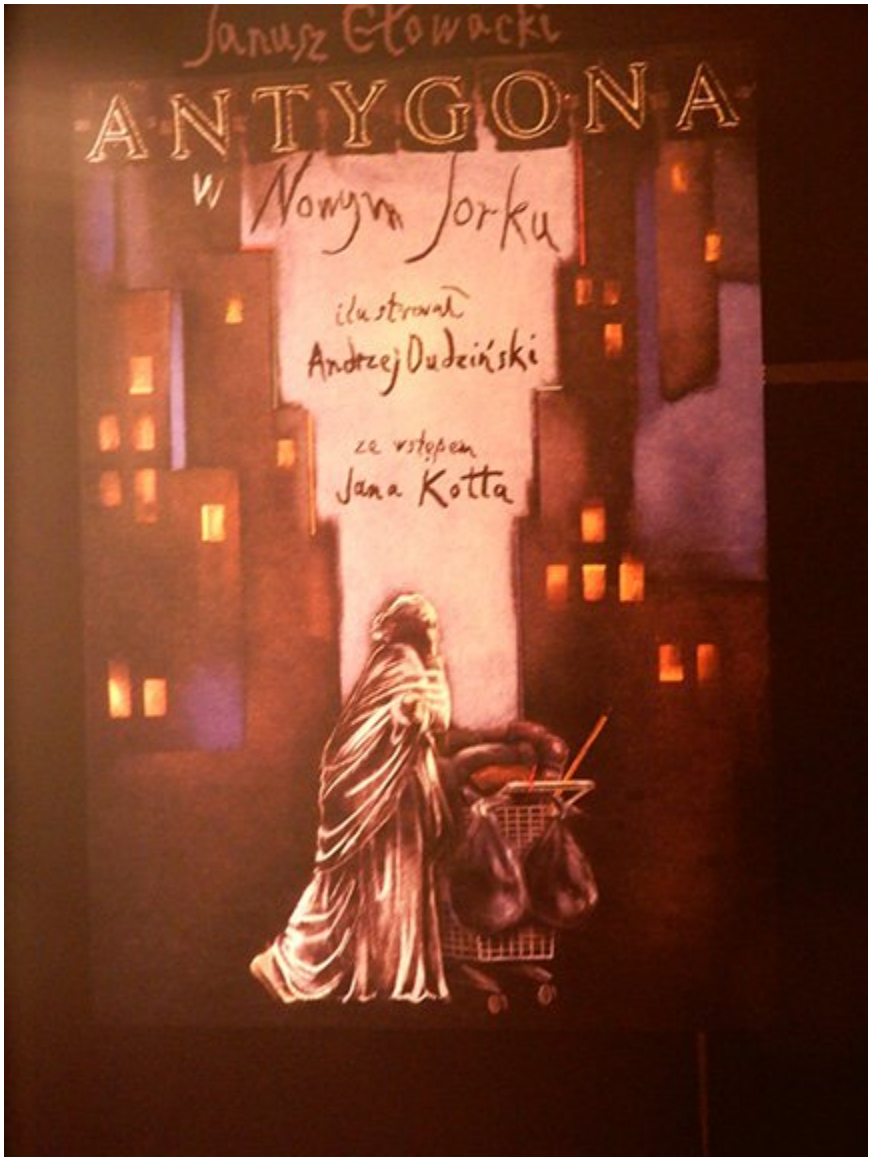
a stojący z boku myszulec dodaje:

> Jak podrośnie to będzie chciał wyjechać. Do Chicago.

W pierwszym roku komentarze i pogaduchy Pokraka trwały w „Tygodniku Powszechnym", gdy Dudi mieszkał jeszcze w Nowym Jorku, co dobitnie zaprzecza tezie, że trzeba być na miejscu, by wyczuwać puls społeczno-polityczny kraju. Wystarczy mieć odpowiednią inteligencję, podpartą talentem i pracowitością. W książce o sobie samym („Andrzej Dudziński", Wyd. Artystyczne i Filmowe, W-wa, 1996) powiedział:

> Nie przypuszczam, że u źródeł mojej kreatywności leży potrzeba kontaktu z publicznością. Próbuję malować, rysować i fotografować rzeczy tak, jak ja je lubię widzieć.

W tamtym okresie wykonywał dla różnych firm wiele projektów reklamowych, m.in. dla AT&T, Condé Nast, Deutsche Telekom (seria kart telefonicznych z motywami olimpijskimi), Royal Bank of Scotland i rysunki do kalendarza IBM w 1992 roku. W tym samym roku wraca do Polski, lecz swój czas wciąż rozdziela pomiędzy Nowym Jorkiem a Warszawą. Jedną z ostatnich prac na terenie Nowego Jorku były ilustracje do kolekcjonerskiego wydania sztuki Janusza Głowackiego „Antygona w Nowym Jorku”.



fot. K. Kasprzyk

Podczas wypadu do Hiszpanii zatrzymuje się w Madrycie, Toledo i Granadzie. Wciąga go słynne Muzeum Prado, dokąd wielokrotnie zachodzi oglądając dzieła starych mistrzów. Raz udaje mu się być przez parędziesiąt minut samemu w sali z malarstwem Boscha. Mogę sobie łatwo wyobrazić co Dudi przeżywał stojąc przed tryptykiem Boscha „Ogród ziemskich rozkoszy”. W roku 2001 udało mi się spędzić w tej sali pełne pięć, samotnych minut, pomijając zaglądającego co chwila

strażnika i nagłe, energiczne wejście malutkiej, złotowłosej dziewczynki, która znieruchomiała na parędziesiąt sekund przed prawym skrzydłem tryptyku zatytułowanym Piekło. Nie mogłem uwiecznić spotkania aniołka z piekłem, bowiem nie tylko, słusznie zresztą, był zakaz robienia zdjęć, lecz miałem na karku strażnika.

Wizyta w Hiszpanii wywarła na Dudim spore wrażenie z powodu przekonania się do maestrii uznanych, starych mistrzów i odcisnęła piętno na jego twórczości, w której pojawiły się elementy iberyjskie. Dlaczego napisałem iberyjskie, a nie hiszpańskie? Bo nieodłączną częścią krajobrazu sztuki Hiszpanii są wspaniałe dokonania Maurów. O tych doświadczeniach wyraził się tak:

> Wszystkie moje dotychczasowe twórcze usiłowania polegały na „odrywaniu się” od tradycji i szukaniu sobie miejsca poza wspólnym zbiorem. Po powrocie z Hiszpanii i Włoch uświadomiłem sobie, że nie ma sensu uciekać, i ta myśl wydała mi się kojąca. Wciąż chcąc być odmiennym, odkryłem że nie muszę być tym tak zdesperowany. Od samego początku, wszystko co kiedykolwiek czyniłem było konsekwencją wewnętrznej potrzeby, trudnych do zdefiniowania impulsów.

Dudziński podczas podróży szkicuje bardzo rzadko. Bardziej fascynują go przeróżne detale murów, ogrodzeń, czy ścian, tworzące gotowe kompozycję struktur, kształtów i kolorów. Do tego celu używa aparatu fotograficznego i ma instynktowną umiejętność właściwego kadrowania tego typu ujęć.

Natomiast podsumowaniem doświadczeń amerykańskich niech będą znów jego słowa:

> Miałem bowiem wrażenie, że zamieniłem jeden rodzaj opresji na drugą. Tam była opresja polityczna, tu jest komercyjna. Szacunek okazywany artyście w Polsce jest trudny do porównania z tym w USA, gdzie zdarza się, że twórca jest pionkiem w grze. Często przypomina rzemieślnika, któremu zleca się wykonanie konkretnej pracy.

Druga część ukaże się w środę, 22 stycznia 2020 r.

Australijscy twórcy na wystawie w Lublinie



Adam (z prawej) i Andrzej Fiala

Od dwóch lat w kolekcji sztuki Fundacji (dla) Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, znajdują się dzieła malarskie i rysunkowe Adama Fiali, polskiego artysty sztuki naiwnej zamieszkałego w Australii. Fundacja podjęła się promocji dzieł artysty, który od 35 lat mieszka i tworzy poza krajem. Pamięć i tęsknota, marzenie o symbolicznym powrocie poprzez dzieła i wystawy, utrwalanie kontaktów z ojczyzną, jest motorem działań Adama Fiali. Artysta nawiązał kontakt z Fundacją w 2017 roku i poprosił o wsparcie w swoich działaniach wystawienniczych w Polsce. Wystawa w Lublinie, rodzinnym mieście pisarza, poety, malarza i ilustratora, prezentuje wybrane dzieła z niezwykle bogatej twórczości artysty. Przez najbliższy miesiąc, można oglądać dzieła malarskie i rysunkowe, prezentujące szeroki wachlarz tematów nawiązujących do kultury rodowitych mieszkańców Australii, umiejętnie połączonych z akcentami sztuki europejskiej, ekspresjonizmu form i treści, karykaturalnie ujętych postaci. Na wystawie znajdujemy również prace fotograficzne syna Adama Fiali, Andrzeja, które pojawiły się gościnnie, jako wprowadzenie do klimatu i atmosfery świata australijskiej przyrody, głównej sprawczyni fantazyjnych pomysłów dzieł artysty. Wystawę, wspólny projekt Fundacji Teatroterapii Lubelskiej i Fundacji (dla) Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, możemy oglądać przez najbliższy miesiąc (październik) w Galerii Art Brut w Lublinie skąd następnie pojedzie do Łodzi i Warszawy.

Henryka Milczanowska



Adam Fiala

Adam Fiala

Pisarz, poeta, malarz i ilustrator, urodził się w Lublinie, w 1984

roku wraz z rodziną wyemigrował do Australii. Z wykształcenia prawnik, debiutował utworami poetyckimi i grafiką w *Kamenie* w latach 70. dwudziestego wieku, a później publikował *w Akancie, Naszym Dzienniku i Metaforze.* Swoją pierwszą powieść *Jeden myśliwy, jeden tygrys* napisał w 1976 roku, odnosząc sukces i uzyskując pochlebne recenzje krytyków. Kolejne, również dobrze przyjęte powieści, powstały w latach 1977-1979 – *Sprawy rodzinne, Zygzakiem po prostej* oraz *Termiterium wisielców.* W tym samym czasie z sukcesami wystawiał swoje malarstwo i rysunki w galerii Desa w Warszawie. Jego prace o charakterze sztuki naiwnej, cieszyły się powodzeniem wśród odbiorców i kolekcjonerów. W formie i nastroju zbliżone do prac malarskich Nikifora, zawierały jednak znaczny charakter satyryczny, szczególnie w pracach z postaciami, zwierzętami, które często odzwierciedlały ułomności ludzkich charakterów.

W Australii Adam Fiala kontynuuje pracę literacko-artystyczną, pisze wiersze, prozę satyryczną, rozwija również swoje zainteresowania w kierunku plastyki i muzyki. Jego wszechstronne pasje poszerzają się wraz z akceptacją życia w nowej ojczyźnie, w otoczeniu dzikiej przyrody i rdzennych mieszkańców Australii. Twórca sam siebie określa w „połowie Aborygenem, a w połowie Polakiem", co niewątpliwie odzwierciedla się we wszystkich kierunkach Jego działalności artystycznej. Prace malarskie i rysunkowe Adama Fiali niepozbawione są satyry i ironii, oscylują pomiędzy naiwną

ekspresją sztuki zachodu, a magicznym światem rdzennych Australijczyków.

Ulubionym gatunkiem poetyckim artysty są aforyzmy i ostatnimi czasy haiku. Od kilku lat Adam Fiala współpracuje z krakowskim Wydawnictwem Miniatura, gdzie wydał już kilkadziesiąt tomików poezji ilustrowanej swoimi rysunkami i grafiką. Są to dzieła o głębokiej refleksji filozoficznej i moralizatorskiej, z ogromną dozą humoru i dystansu twórcy do siebie i świata. Od 2008 roku ilustruje również książki zaprzyjaźnionych pisarzy i poetów. W Australii stale publikuje w *Pulsie Polonii i Przeglądzie Australijskim*. Jego utwory znajdujemy również na stronach internetowych amerykańskiego wydania *Culture Avenue i w Magazynie Twórczym Polska-Kanada*.



Andrzej Fiala

Andrzej Fiala

Urodził się w Warszawie w 1975 roku. W wieku 8 lat wyemigrował razem z rodzicami do Australii. Szkołę podstawową kontynuował w Perth – Zachodnia Australia i tam ukończył szkołę średnią, Carine High School. Następnie rozpoczął naukę w szkole artystycznej w Taffe w Perth, rysunek i fotografię. Ze względu na sztywne warunki nauczania zrezygnował z kontynuowania studiów i wybrał bardziej swobodną i autentyczną formę Art Naive (Art Brut).

Artysta opiera się głównie na samokształceniu dzięki dużej

kolekcji książek i albumów. W swoich rysunkach i malarstwie kieruje się własną intuicją twórczą, emocjami, które towarzyszą mu w codziennym kontakcie z dziką australijską przyrodą.

Andrzej Fiala wraz ze swoim Ojcem, Adamem eksperymentuje we wspólnych projektach artystycznych, realizacjach krótkich filmów o sztuce, opartych na faunie i florze australijskiej. Artyści wplatają w malowane, bajkowe opowieści o egzotycznych zwierzętach Australii i przodkach białych przybyszów, historię i tradycję rodowitych mieszkańców tego kontynentu, Aborygenów.

W pracach rysunkowych Andrzeja króluje przyroda, dzika i groźna, a zarazem pełna niezwykłych barw i form, nigdzie dotąd nie spotykanych na ziemi. Jego fotografie to efektowne kompozycje dziecięcych zabawek, wkomponowane w autentyczną nieokiełznaną przyrodę, inscenizują prawdziwy świat dzikich zwierząt, do których nie sposób byłoby artyście się zbliżyć. Wyobraźnia dziecka przetrwała w umyśle dorosłego człowieka, włączającego kreację artystyczną w plastycznych środkach barw, kompozycji i światła. Oglądając dzieła Andrzeja Fiali, czujemy się bardzo blisko tego tajemniczego i egzotycznego świata, dalekiej Australii.

Galeria Art Brut

Centrum Kultury w Lublinie

Moje australijskie noce i dnie



Adam Fiala

1 - 31 października 2019

www.teatroterapia.lublin.pl

Wystawa we współpracy z Fundacją Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939 - 1989

Projekt zrealizowano dzięki wsparciu Miasta Lublin





Adam Fiala



Adam Fiala



Andrzej Fiala



Wernisaż w Lublinie. W środku stoi – Henryka Milczanowska

Zobacz też:

http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/

http://www.cultureave.com/adam-fiala-turpizm-australijski/

http://www.cultureave.com/polscy-artysci-z-australii-anna-adam-i-andrzej-fiala/

http://www.cultureave.com/australijskie-piekno-na-fotografiach-andrzeja-fiali/

Ewy Dorynek-Scheer „Obrazy Takie

w Klimacie”



Ewa Dorynek-Scheer, Nocne niebo twojego dzieciństwa.

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Ewa wyjechała z Polski do Kanady z mężem Andrzejem Maciejewskim, znanym dziś w Kanadzie fotografikiem, w 1985 roku. W Polsce studiowała psychologię i filozofię. Podczas studiów, na letnim plenerze fotograficznym po raz pierwszy eksperymentowała z *ice paintings*, malując na lodzie i

fotografując efekt przenikania się lodu i farb. Małżeństwo nie wytrzymało trudów emigracji. Już w drugim związku, Ewa Scheer powróciła do przerwanych pasji artystycznych. W latach 1987-1992 studiowała *fashion design* na Ryerson Polytechnical Institute uzyskując licencjat ze sztuki użytkowej oraz na University of Regina w Saskatchewan, w 1991 roku, zdobywając Master of Fine Arts. Z upływem lat artystka rozwijała technikę *ice paintings* świadomie zmierzając w stronę malarstwa ekologicznego. Prace jej są barwnym, niepowtarzalnym dziełem malarskim stworzonym jednocześnie przez artystkę i naturę. W 2016 roku dużym powodzeniem cieszyła się wystawa Ewy Scheer w Kingston/Ontario, w Gallery Studio 22 – *ice paintings* powiększone do dużych skali prezentowały się imponująco. Idąc dalej w stronę ścisłej współpracy z naturą, artystka przygotowała serię wykładów poglądowych dotyczących relacji między sztuką, człowiekiem, środowiskiem i przemysłem, które od 2016 roku wygłasza gościnnie. Ewa jest laureatką konkursu „Saving Face" w Living Arts Centre/Mississauga 2011; jest finalistką konkursu Kingston Prize – Canada National Portrait Competition 2011 i 2019; Spirit of the Land w 2011 roku i Space w 2012 roku w MVS Gallery/Brockville,Kanada. W 2016 roku artystka była na rezydencji w L'Atelier sur Seine w Hericy we Francji.



Artystka na tle swoich prac.

Jak wielu artystów polskich tworzących poza granicami, Ewa Dorynek-Scheer chciała zaprezentować swój dorobek w kraju rodzinnym, gdyż konfrontacja z rodzimym środowiskiem artystycznym daje artyście szczególną satysfakcję i dodatkowe bodźce, których często brak w kraju osiedlenia. Wystawa „Obrazy Takie w Klimacie” zorganizowana została w domu kultury PROM w dzielnicy Saska Kępa w Warszawie. Artystka zaprezentowała serię miniaturowych, abstrakcyjnych obrazów

malowanych barwnikami spożywczymi i nietoksycznymi środkami koloryzującymi na płytach lodu. W trakcie tworzenia czas trwania tych miniaturowych obrazów zależy wyłącznie od warunków pogodowych – temperatury, wilgotności, siły wiatru. Temperatura otoczenia i właściwości lodu są ważnym czynnikiem procesu twórczego – stąd artystka nazywa swoje prace „klimatycznymi meteografami". Ostatnim etapem tworzenia jest Diasec- proces technologiczny, w którym zespala się fotografie ze szkłem akrylowym imitującym grube tafle lodu.



Ewa Dorynek-Scheer, Rembrandt Nebula.

Meteografy Ewy Dorynek-Scheer dotyczą momentu, przypadku i zaskoczenia, jakie sprawia artystce natura. Efekty zaskakują pomysłowością. Niektóre przypominają przestrzeń kosmiczną, inne są jak światy podwodne lub wnętrze organizmu. Jest to niekończąca się inwencja form i kształtów. Jednak drugą stroną tego ekologicznego procesu twórczego jest świadomość, że chociaż używane materiały są nietoksyczne, to malowanie na lodzie jest wprowadzeniem do lasu ingerencji człowieka i

uprzemysłowionej kultury ludzkiej. Obrazy „narzucają się" naturze, podobnie jak ludzka cywilizacja „narzuca się" niszcząc środowisko naturalne. Czy istnieje wobec tego relacja idealna, nieinwazyjna, między twórcą i naturą? Jest to pytanie pojawiające się w trakcie oglądania wystawy. Paradoks – nawet współpracując tak blisko z naturą, artysta przekształca środowisko i ingeruje weń. Obrazy lodowe mówią o naturze, ale proces produkcji wykorzystujący metal, plastik, lakiery – naturę niszczy. Kolejny paradoks, który uświadamia nam jak groźne procesy destrukcyjne wyzwolone zostały przez naszą cywilizację. Czy sama świadomość tego faktu ocali nas przed ekologiczną zagładą? Przyszłość przyniesie odpowiedź na pytanie. W przestronnej sali wystawowej domu kultury, na białych ścianach, jak na śniegu, prace prezentowały się ciekawie, a tajemniczy świat lodu i kolorów – będący owocną współpracą artystki i natury, zachwycał nieskończoną wielością form.



Ewa Dorynek-Scheer, Głową w dół; Organ współczucia.

Zuzanna Czyzo –

fotografka bez granic.

Mieszkająca w Toronto Zuzanna Czyzo urodziła się w Warszawie. Jest szczęśliwa, gdy podróżuje, poznawanie świata to jej wielka pasja. Uważa jednak, że podróżowanie powinno być zrównoważone (bezkonfliktowe) i mieć cel. Ceni sobie kontakt z lokalnymi społecznościami, ale zawsze zwraca uwagę na szkodliwy wpływ, jaki może mieć współczesna turystyka na środowisko i kulturę odwiedzanych miejsc. Zuzanna zachęca turystów do podjęcia wysiłków, aby pomóc miejscowym społecznościom, poprzez korzystanie z lokalnych firm organizujących wycieczki, zakwaterowanie, posiłki, czy zakup pamiątek.

Zuzanna zakończyła właśnie fotograficzną misję w Rwandzie, zorganizowaną przez Photographers Without Borders. Fotografowie bez Granic łączą pozarządowe organizacje z całego świata *(non-governmental organization – NGO)* z fotografami i filmowcami. Bez pomocy organizacji pozarządowych d9kumentaliści nie mieliby środków, aby pracować w różnych miejscach na świecie.

Zuzanna współpracowała z organizacją Talking Through Art, NGO, mieszczącą się w Kigali (Rwanda). Spędziła dwa tygodnie

na dokumentowaniu życia mieszkańców Rwandy. Poznawała kraj ucząc się, że Rwanda to nie tylko tragiczna historia. Obserwowała życie niepełnosprawnych kobiet, które poprzez naukę tradycyjnego rzemiosła nabierały pewności siebie i uniezależniały się finansowo.

Fotografka ma nadzieje, że w przyszłości będzie miała jeszcze okazję zaoferować swój czas i umiejętności innym, będącym w potrzebie, organizacjom na świecie.

www.bysusanczyzo.com

Rwanda we wspomnieniach Tadeusza Jaworskiego:

https://www.cultureave.com/w-afryce-lat-60-odwieczny-konflikt-tutsi-i-hutu/

Rwanda na fotografiach Zuzanny Czyzo












TALKING
THROUGH
ART
TALKING THROUGH ART
TALKING THROUGH ART IS
ART GALLERY AND SHOP
OPEN
MONDAY - SUNDAY
9 AM - 6PM









Szymon Brodziak –

najlepszym
na świecie twórcą
fotografii czarno-
białej



Szymon Brodziak

Jesteś tym, co widzisz – to motto Szymona Brodziaka (ur. 1979 r.), autora zmysłowych, niekonwencjonalnych czarno-białych zdjęć, które zyskały uznanie i odniosły komercyjny sukces. Jego rozpoznawalny styl sprawił, że krytycy okrzyknęli go "artystycznym spadkobiercą Helmuta Newtona". Sam Brodziak nie kryje fascynacji i inspiracji twórczością legendarnego

fotografa, a jego żona June Newton, w dowód uznania dla talentu polskiego artysty zamieściła osobistą dedykację w wydanym w 2014 roku autorskim albumie "BRODZIAK One". Album miał swoją oficjalną premierę w Rzymie. Można w nim znaleźć blisko 300 monochromatycznych zdjęć podsumowujących pierwsze 10 lat zawodowej działalności Brodziaka. Album "Brodziak One", otrzymał też Złoty Medal w kategorii „książka" w międzynarodowym konkursie *Prix de la Photographie Paris*.

Szymon Brodziak, z wykształcenia ekonomista, szybko porzucił wyuczony zawód, by asystować przy sesjach mody i kampaniach wizerunkowych, będących dziś głównym polem jego działalności. Od tego czasu zdobył wiele nagród na międzynarodowych konkursach fotograficznych w Stanach Zjednoczonych i w Europie, w tym 3 złote medale na *Prix de la Photographie Paris* 2012.

W roku 2013 podczas Festiwalu Filmowego w Cannes, Fashion TV uznało go za najlepszego na świecie fotografa czarno-białych kampanii reklamowych.

W 2015 roku fotografie Szymona Brodziaka można było oglądać w berlińskim Muzeum Fotografii Fundacji Helmuta Newtona na wystawie "Newton, Horvat, Brodziak". Wystawa była olbrzymim wyróżnieniem i dowodem uznania dla twórczości Szymona

Brodziaka, który jest pierwszym fotografem z Polski i najmłodszym spośród artystów zaproszonych do współpracy przez to prestiżowe muzeum.

Kolejny rok przyniósł artyście następne sukcesy. W Stanach Zjednoczonych zdobył pierwsze miejsce w kategorii Moda w dwóch konkursach: International Photography Awards (2016) oraz w nagradzającym najlepsze zdjęcia monochromatyczne na świecie Black & White Spider Awards (2016).

Jego prace są także stale doceniane w Europie, gdzie w ostatnich latach otrzymał liczne medale i wyróżnienia w kilku edycjach międzynarodowego konkursu *Prix de la Photographie Paris*, zarówno za kampanie reklamowe, jak i projekty autorskie, w tym tytuł najlepszego fotografa reklamowego roku 2016.



Szymon Brodziak, Ballerina

12 kwietnia 2019 roku ogłoszono wyniki prestiżowego Konkursu Fotograficznego One Eyeland. Szymon Brodziak zajął w nim pierwsze miejsce, potwierdzając tym samym swoje miejsce w światowej czołówce artystów zajmujących się fotografią czarno-białą.

One Eyeland (www.oneeyeland.com) to najlepsza na rynku galeria online i zarazem społeczność internetowa, w której swoje

prace udostępniają i do której należą topowi fotografowie z całego świata. Przyznawane przez One Eyeland nagrody są szczególnie istotne dla fotografów, ponieważ w skład jury wchodzą uznani artyści z całego świata.

> *Dobre zdjęcie to takie, które wzbudza emocje, skłania do refleksji i nie pozostawia widza obojętnym – mówi Szymon Brodziak*.

I faktycznie twórczość Polaka nie pozostawiła jury (oceniającego blisko 2 000 zgłoszeń z 65 krajów) obojętnym, bo został wyjątkowo doceniony. Za swoje monochromatyczne prace (Drzewo, Żywopłot, Ballerinas, Rolls-Royce, Noti, Molo, Loop, Labirynt i Ana Portret) uzyskał aż 90 punktów (!), zdecydowanie wyprzedzając w rankingu pozostałych laureatów.

Nagroda One Eyeland to kolejny laur dla Szymona Brodziaka – jego twórczość doceniano już wielokrotnie. Jeszcze jako student otrzymał nagrodę Johnnie Walker Keep Walking Award za

> ciągłe urzeczywistnianie swoich marzeń oraz pasję wyznaczania nowych ścieżek w poszukiwaniu piękna.

Szymon Brodziak sam siebie określa mianem „visualtellera”, czyli osoby opowiadającej historie poprzez fotografie.

„Myślę czernią i bielą, patrzę w czerni i bieli i widzę kadry czarno-białe” – mówi Brodziak. A w jego wyjątkowych, monochromatycznych historiach, które są niczym kadry z nigdy nienakręconych filmów, główną rolę grają kobiety, które, jak sam przyznaje, uwielbia fotografować. To właśnie ich czarno-białe wizerunki, w zaskakujących lokalizacjach i pozach, nie pozostawiają widza obojętnym i sprawiają, że zdjęcia, które Brodziak tworzy do kampanii reklamowych same stają się dziełami o niepowtarzalnym charakterze.

Jednak dla Szymona Brodziaka ważne są nie tylko wyróżnienia, które otrzymuje za swoją twórczość, ale także dobro, które dzięki swojej pracy może szerzyć. Dlatego też nagroda One Eyeland to nie jedyny sukces artysty w bieżącym miesiącu. 5 kwietnia podczas licytacji, która odbyła się w warszawskim Domu Aukcyjnym Desa Unicum w ramach kolacji charytatywnej zorganizowanej przez Fundację na rzecz dzieci z Domu Dziecka Pod Lipami w Radymnie, czarno-biała sesja w wykonaniu Szymona Brodziaka została wylicytowana za rekordową kwotę 195 000 złotych.

Ponadto artysta stale wydaje specjalne edycje druków i fotografii oraz bierze udział w aukcjach, dzięki którym do tej pory na cele

charytatywne udało się zebrać ponad 150 000 złotych.

Prace Szymona Brodziaka można obejrzeć i kupić w jego autorskich galeriach fotografii w Poznaniu (Brodziak Gallery) i w Warszawie, a także online na stronie www.szymonbrodziak.com, gdzie znajdują się także informacje i materiały filmowe o artyście i jego twórczości.

12 czerwca 2019 r. odbyło się spotkanie autorskie z Szymonem Brodziakiem w **Vivid Gallery** we Wrocławiu.Tematem przewodnim była fotografia jako dzieło sztuki i próba oceny ważności poszczególnych jego warstw: tematu, kadru, światłocienia i wyzwań logistycznych i technicznych.

Prace Szymona Brodziaka nadal można będzie obejrzeć w Vivid Gallery. Część z nich weszła do stałej ekspozycji.

(materiały prasowe)

Galeria



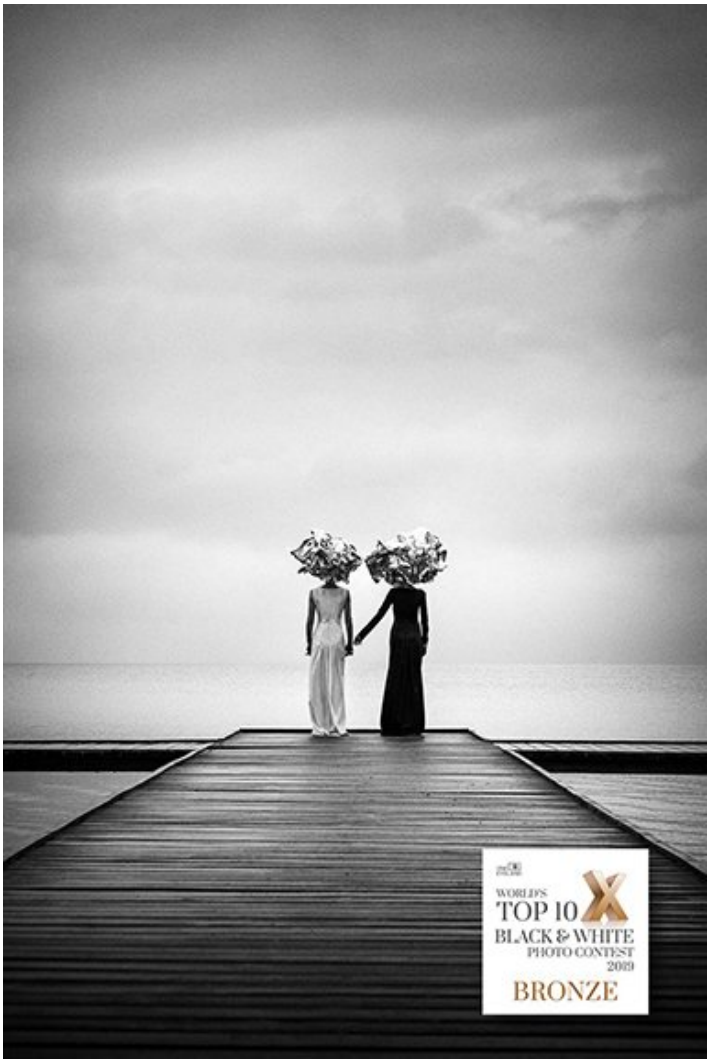
Szymon Brodziak, Vivid Gallery



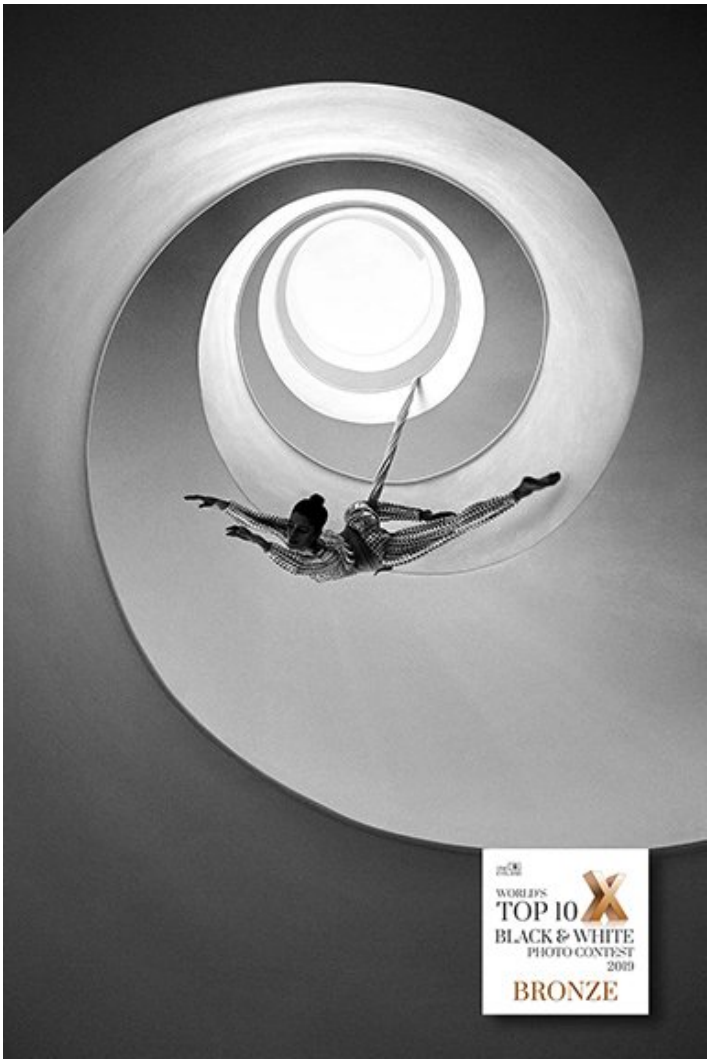
Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Molo



Szymon Brodziak, Loop (Pętla).



Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Vivid Gallery

W rytmie jazzu.

Legendarni muzycy w obiektywie Jacka Gwizdki – część 2.



Enrico Rava, Montreal, 2001.

Jacek Gwizdka od lat zajmuje się też fotografią. Od 1997 roku

prezentuje swoje prace na wystawach w Polsce i w Kanadzie. Miał wystawy w Hart House na Uniwesrytecie w Toronto (w Arbour Room i Hart House Art Gallery, gdzie jedna z prac otrzymała honorowe wyróżnienie), w Glenhyrst Art Gallery w Brantford, Ontario, Grimsby Public Art Gallery (Galeria kupiła jedną z prac do swojej kolekcji), w Fez Batik w Toronto (seria fotografii p.t. „Fluid Transformations & Moments"), w Club Lucky Gallery w Toronto (seria fotografii p.t. „Fluidscapes – Meditations of Light and Water"), w Centrum Kultury im. Jana Pawła II w Mississaudze w Ontario (seria fotografii p.t. "Musical Expressions", przedstawiajaca wybitnych muzyków jazzowych podczas gry), w L'Arte Café & Gallery w Toronto, w Galerii Pekao w Toronto, w Domu Nauczyciela w Łodzi (seria fotografii p.t. „Impresje"). Jacek Gwizdka brał też udział w znanym festiwalu kanadyjskich fotografów CONTACT w Toronto. Jego prace można też znaleźć w prywatnych kolekcjach w Kanadzie i Polsce.

Fotografie Jacka Gwizdki były publikowane w takich magazynach jak „Jazz Forum", w miesięczniku kulturalnym „List oceaniczny" wydawanym jako dodatek do dziennika „Gazeta" w Toronto oraz w głównym wydaniu „Gazety", fotografie podróżnicze ukazywały się w „Polonii Kalifornijskiej" i „Dzienniku Łódzkim".

W 2003 roku słynna monachijska wytwórnia płytowa ECM użyła jego fotografi ina okładkę płyty Stephen'a Hartke pod tytułem

„Tituli / Cathedral In The Thrashing Rain”.



Chick Corea & Jacek Gwizdka, Montreal, 2001.

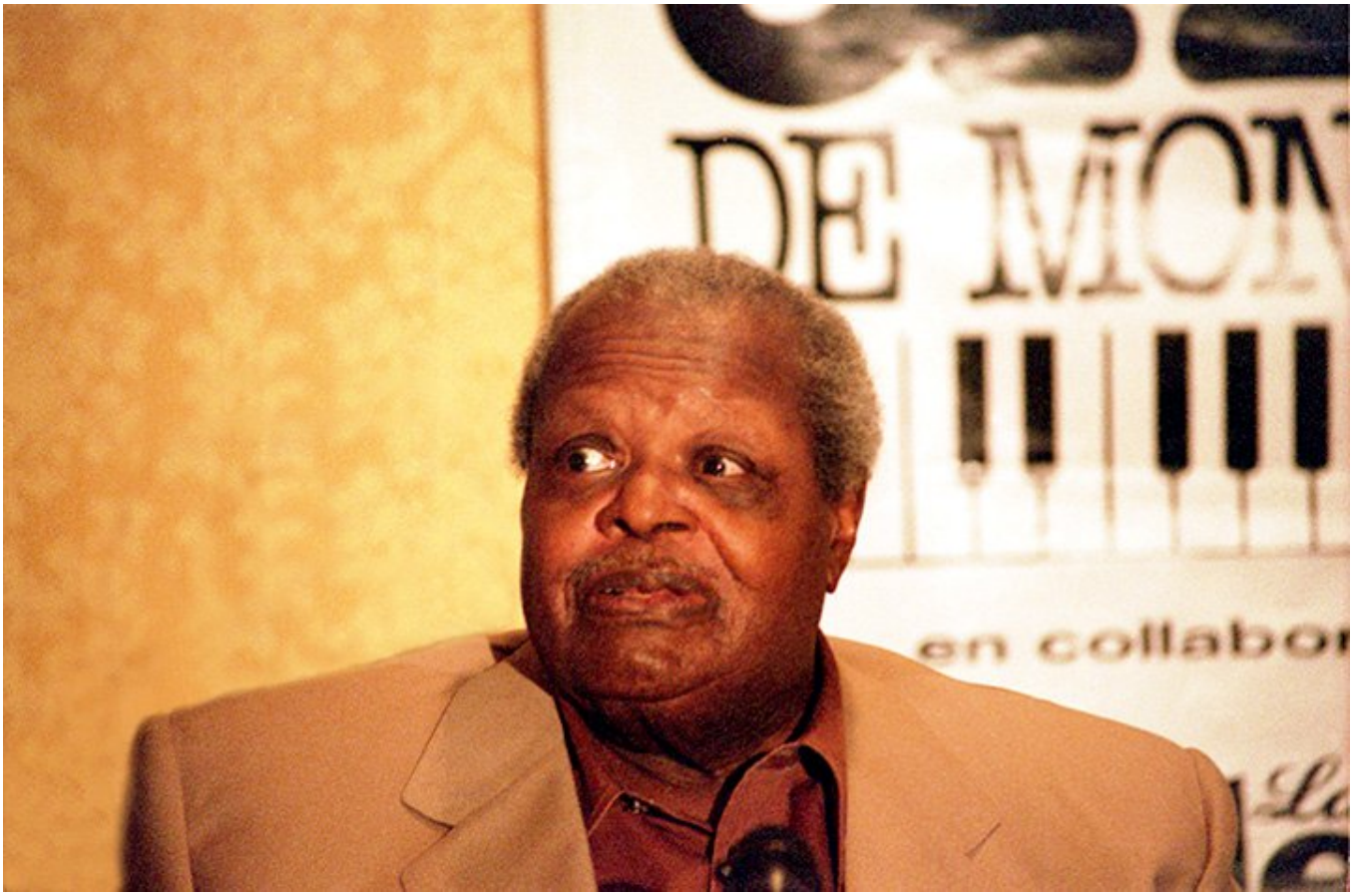
Zapytany o muzyków jazzowych, których miał okazję fotografować odpowiada:

– Ponieważ po wyjeździe z Polski mieszkałem najpierw w Niemczech (zachodnich), potem w Kanadzie, a później (i do

tej pory) w USA, miałem możliwość zobaczyć największych muzyków jazzowych drugiej połowy XX wieku. Na pierwszym miejscu muszę wymienić Miles'a Davis'a. Widziałem jego koncert w 1990 roku w Toronto około roku przed jego śmiercią. Byłem wówczas nowoprzybyłym Kanadyjczykiem, kupiłem jeden z najtańszych biletów na parterze w sali Pantages Theatre i miałem bardzo kiepskie miejsce (za kolumną), ale muzycznie doświadczenie było niesamowite. Pianista Keith Jarrett, którego twórczość bardzo cenię, powinien być na drugim miejscu. Widziałem jego dwa koncerty solo, w Carnegie Hall w Nowym Jorku (2005) i w Filharmonii Gasteig w Monachium (2016) oraz dwa razy z trio (z Gary Peacock, and Jack DeJohnette) w Newark NJ USA (2007) i w Montrealu w 2002 roku. Koncert saksofonisty Charles'a Lloyd'a z kwintetem w Montrealu w 2001 był niemal mistycznym przeżyciem. Kto następny, ciężki wybór. Genialny gitarzysta Stanley Jordan, którego widziałem w klubie Dimitriou's Jazz Alley w Seattle. Jego indywidualna technika jednoczesnej gry linii basu i solo na gitarze jest unikalna. Duet John Surman z Jack deJohnnette, których słyszałem na festiwalu w Montrealu na początku lat 2000. Koncert norweskiego gitarzysty Eivind Aarset'a, również na festiwalu w Montrealu. Oba ostatnio wymienione koncerty odbywały się w podziemiach kościoła w centrum Montrealu. Trębacz Nils Peter Molvaer z muzyką NU Jazz, również z Norwegii i jego występ w Montrealu w gęsto zatłoczonym klubie z salą pełną fanów i oparów „trawki". Bugge Wesseltoft,

także Norweg z kręgu NU Jazz pozostanie w pamięci z koncertu jak i z późniejszych nagrań. Moja „północno-europejska orientacja” na jazz jest związana z moją ulubioną wytwórnia jazzową – ECM (Edition of Contemporary Music) z München (Monachium). Są również Polscy jazzmani. Moja lista jazzmenów z ojczyzny, nie jest po „znajomości”, ale dlatego że reprezentują oni najwyższy światowy poziom. Duet mojego przyjaciela, saksofonisty, Andrzeja Olejniczaka i pianisty Władysława „Adzika” Sendeckiego na festiwalu w Krakowie w 2018 pozostanie na długo w mojej pamięci.

G a l e r i a



Oscar Peterson, Montreal, 2001.



Maynard Ferguson, Toronto, 2002.



George Benson, Montreal, 2001



Esbjörn Svensson, Montreal, 2002.



Stefano Bollani, Montreal, 2001.



Kenny Garrett, Toronto, 2005.



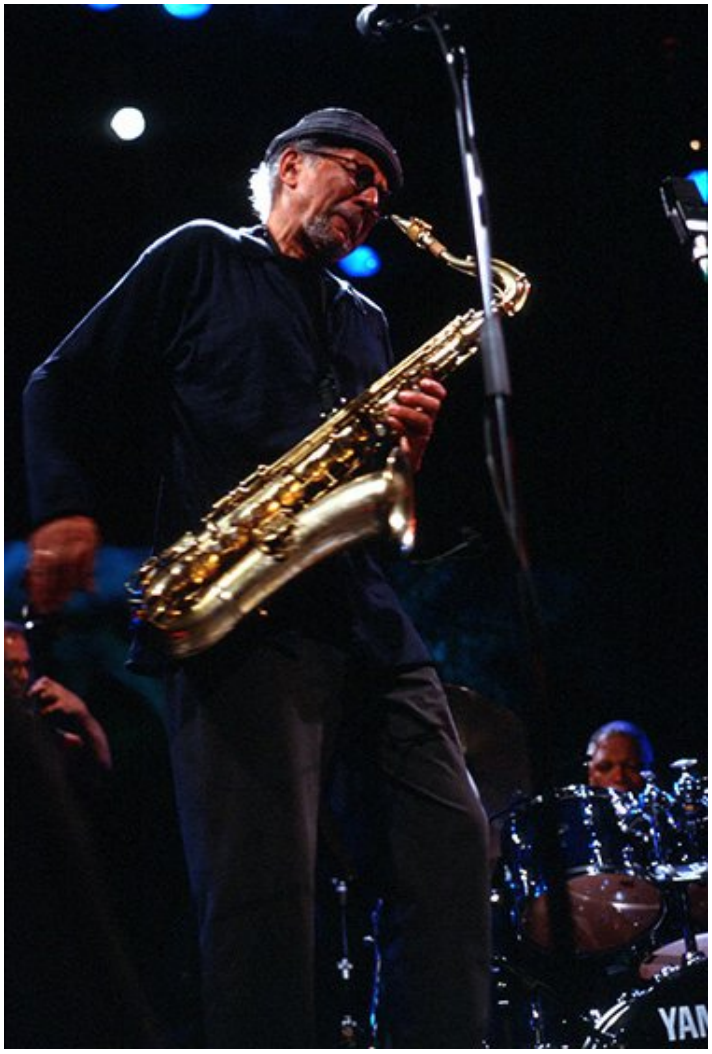
Joshua Redman, Toronto, 2005.



Andrzej Olejniczak & Michał Urbaniak, Krakow, 2018.



Jan Ptaszyn Wróblewski, Toronto, 2004.



Charles Lloyd, Montreal, 2001.



Enrico Rava, Montreal. 2001.



Andrzej Olejniczak, Krakow, 2018.

Copyright Jacek Gwizdka. Zainteresowanych zakupem zdjęć prosimy o kontakt z redakcją.

Legendarni muzycy w obiektywie Jacka Gwizdki – część 1:

https://www.cultureave.com/w-rytmie-jazzu-legendarni-muzycy-w-obiektywie-jacka-gwizdki/

Inne wystawy Jacka Gwizdki w magazynie „Culture Avenue”:

https://www.cultureave.com/cogitationes-aqua-jacek-gwizdka-fotografie/

https://www.cultureave.com/ramis-neuronis-jacek-gwizdka-fotografie/

Strajk dzięciołów. Haiku.



Adam Fiala – tekst, **Anna Fiala** – fotografie

(Perth, Australia)

Strajk dzięciołów

Niskie pensje

W Leśnej Służbie Zdrowia

***

Meteory- ziarenka piasku

Urozmaicają

Bezksiężycową noc

***

Teatr NIC

A pełne

Spektakle

***

I motyl skrzydłami

Bije

Pianę



Droga Zbawienia

Wiodła

Przez pustynie

***

Ptak w klatce

Śpiewa szczęśliwie

Jedyna obawa: wykwaterowanie

***

Obrazek

Sępy krążą

Nad tańczącymi derwiszami

***

Polska Jesień

Wydaje

Szczerozłotą walutę



Jajecznica Złotej Jesieni

Jest godna

Samego Turnera

***

Bezzębna staruszka

I ukradziony jogurt

Okrucieństwo dręczącej władzy

***

Giba się

Jak

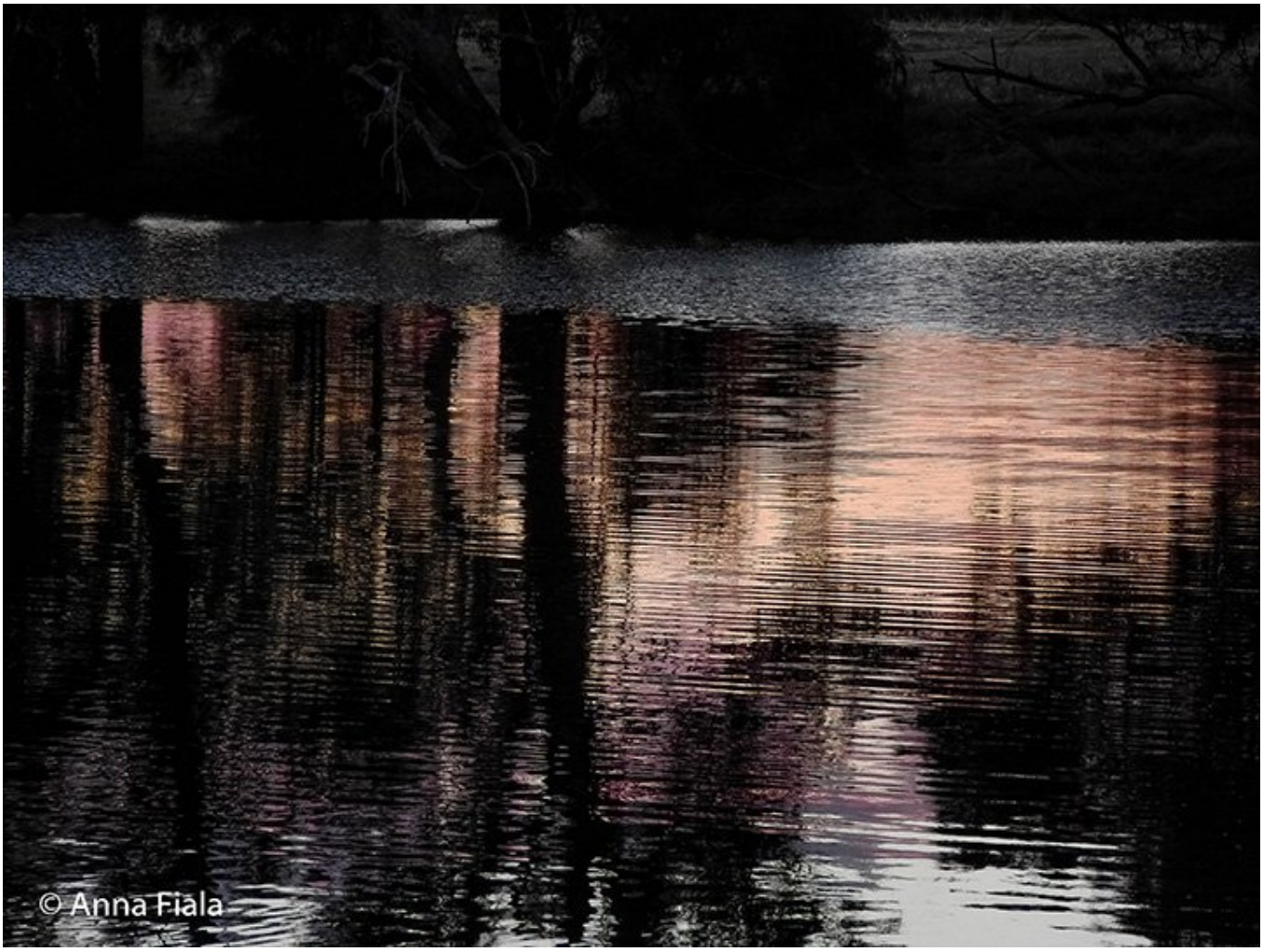
Dorodny Gibbon

***

Stare zegary

Pogrążone w antyku

Lub odwrotnie



Ślimak

Ułatwienia dla Leśnej Policji

Zawsze zostawia ślad

***

Ćma – agent

Ma szyfr

Na skrzydłach

***

Pani Pszczoło, Pani Biedronko

Poeta ksiądz Jan Twardowski

Powstaje z grobu

***

Dąb

Pnie się ku Niebu

Ale korzeniami tkwi w Ziemi

***

Kraska

Złodziejka

Kawałka Nieba



Bezdomny

Człowiek który wyżej od plastyku

Ceni tektury

***

Macron może

Pójść na makro

Ustąpić

***

Krew świętego się burzy

Wezuwiusz pass

Ludzie zaczynają oddychać w Neapolu

***

Anioły odżywiają się manną

Polując przy okazji

Na Niebieskie Ptaki


© Anna Fiala